

Wypadek.

Pani Dorset, szykując się do wyjścia, zawiązała wstążki od kapelusza pod brodą.

— Nie zapomnij o suflecie z czekoladą, moje dziecko! — upomniła drżącym głosem Izabele, odwróciwszy się do niej w przedpokojku — Gerard przepada za nim. Rad będzie go mieć na przywitanie.

Poczem, z parasolem w rękę otworzyła drzwi, weszła do ogrodu, wciągając w płucach ożywczy zapach bzu, którego galezie zwieszały się nad ganikiem willi, i żwawym podrygującym krokiem przebywszy aleję, znalazła się na ulicy w chwili, kiedy zegar na wieży Św. Florentyna wydzwaniał jedenaście. Uderzenia rozperliły się w jasno-błękitnym przestworzu w pogoni za pierzastymi obłokami, mknącymi ku morzu.

Na progu swej mleczarni Walerja Dompied zatrzymała panią Dorset pytaniem:

— Dokąd to wielmożna pani tak wczesnie? Do szwalni?

— Nie! — odparła stara dama, kręcąc głową z uśmiechem na twarzy — idę na dworzec. Na spotkanie mego wnuka, Gerarda. Pamiętasz, moja Kochana, Walerjo, tego dużego chłopca o wijących się włosach?

— Czy pamiętam? Ależ naturalnie! Przyjeżdża dzisiaj? Gdzie pracuje teraz?

— W Afryce, biedactwo! Nie miała to zasługa! Pomyśl tylko, Walerko! Patrząc na murzynów od stycznia do grudnia! Ja bym nie mogła! No, uciekam już! Od trzech lat nie widziałam go!

Skinawszy mleczarnie na pożegnanie, pani Dorset skręciła na rogu, idąc śpiesznie w stronę placu Hegesippe Simon, przylegającego do ulicy, prowadzącej do dworca.

Nagle, wiatr zmieniwszy kierunek, odwrócił ją ciepłą wioną trawy morskiej, podczas, gdy stado mew, szeleszcząc skrzydłami, przeleciało nad jej głową.

— Ależ dziecina, mimo swe siedemdziesiąt sześć lat! Co? — mówiła Walerja do swych klientów, skoro tylko stara dama oddaliła się.

— I dobra, jak amio!

— I łagodna, niczem baranek!

Pocypały się pochwały z nad skłbek chleba, bryłek masła i piramid sera.

Pani Dorset tymczasem szła dalej swoją drogą, poczdrowiona uprzejmie przez aptekarza, który przyrządził jej proszki od febry i pana Rabot, przychodzącego co niedziela na partię ekarte do niej.

— Idzie na spotkanie pana Gerarda! — szepotali między sobą, mijający ją przechodnie.

— Idzie na spotkanie pana Gerarda! — zdawał się mówić pies rzeźnika, podniósłszy mordkę do pyska konia, którego Jofnville, dzierżawca przywiązał do słupa przy chodniku.

— Winiusznie, winiusznie! Pan Gerard przyjeżdża! — zawołał rejent Pons, ujrzawszy staruszkę zdaleka i ułożył się jej tak szerokim gestem, że stado gołębi rozsiadłych na stoście mierzwy końskiej, rozpięzchno się na wszystkie strony, gruchając.

Powietrze było czyste, świeże, rozłożone, radością tchnące. Kot sklepiarki przeciągał się rozkosznie w wyschniętym ścięku. Auto przemknęło z hałasem. Pani Dorset szła wciąż ku dworcowi wsłuchana w refren, którym dla niej rozbrzmiewał cały świat:

— Idę na spotkanie Gerarda! Ach, jakie życie będzie przez te trzy miesiące piękne!...

Oto już weszła do hull'a dworca, z tym skupionym wyrazem twarzy, który miewała zawsze, ilekroć przekraczała granice codziennych swych spacerów.

— Aha! — powitał ją serdecznie Exupere, urzędnik kolejowy — pan Gerard przyjeżdża dzisiaj!

Skinawszy głową, spytała drżącym ze wzruszenia głosem:

— Pociąg z Paryża?

— Na czwartym torze.

Oszczupiona warłocotem maszyn, sapiących wokół niej, pani Dorset, lawirując między publicznością, bagażowymi, koszmami, walizkami i kuframi wybrała wreszcie miejsce na peronie, gdzie stanęła wyprostowana sztywnie, przyciskając parasol do piersi i darząc pełnem współczuciem spojrzaniem trzy kury gdaczące ze strachu w zamkniętej klatce.

— Pociąg z Paryża? — spytała po kwadransie oczekiwania urzędnika, ugrajającego chorągiewką w rękę.

Niezrozumiałe mrugnienie zadowolono narazie starowinkę, oglądającą się na osoby przybyłe również po kogoś ze swych bliskich.

— A! Pan Gerard przyjeżdża! — zawołała nagle, podbiegając do niej jedna ze znajomych. — My oczekujemy Adeli, która przyjeżdża do nas na święta wraz ze swoim...

Wtem pociąg towarowy nuszyl z miejsc z hałasem, pełen wołów i baranów, których smutny ryk i beczenie bolesnym echem odbiło się w dobrem sercu pani Dorset.

Końcowy wóz ze swą niepotrzebnie mrużącą latarnią przemknął zaledwie, kiedy alarmowy sygnał rozbrzmiał w powietrzu i przerażona publiczność pobiegła w nieładzie trzaskając drzwiami i potracając się w popłochu.

— Co się stało?.. Co się stało?.. O, mój Boże!.. O mój Boże!.. — szepotała pani Dorset struchlałym wzrokiem wodząc po gromadzącej się na peronie ciżbie.

— Na most żelazny! — rozległo się nagle wołanie.

Ludzie, krzyżąc w niebogłose i potykając się popędzili we wskazanym kierunku. Pani Dorset porwana przez tłum, padając na ziemię i podnosząc się biegła wraz z nim, pytając raz po raz żalonym głosem:

— Ależ co?.. Co się stało?..

— Zderzenie pociągów! Są ranni! — rzucił jej mimochodem grubo jegomość towarzyszący sobie drogę łokciami.

— Proszę poczekać na mnie! Proszę poczekać na mnie! — błagała go zrozpaczona staruszka, wymachując parasolem nad głową, podczas gdy bruchacz nikił jej z oczu w tłumie.

Ciżba dobiegła wreszcie do przerzuczonego przez rzekę żelaznego mostu.

Pani Dorset również znalazła się wraz z tłumem przy tonze zawalonym poprzeczanymi wagonami. Mechanicy obu pociągów otoczeni zwartem kołem żołnierzy, służby kolejowej i pasażerów rozprawiali, gestykulując żywo.

— Gerard! — rozległo się nagle żałosne wołanie.

— Alanko!

— Julien!

— Sosthene!

— Mężu mój!

— Synu mój!

Rozbrzmiał wnet wołania jak na komendę.

— Oszałeliście! — krzyknął naczelnik stacji, przybiegając — niema nikogo w przedziałach! Troje ramnych odwiezłimo do szpitala! Uciszcze się!

Daremnie jednak uspakajali, przysięgając że są szkody materialne tylko. Tłum zelektryzowany rzucił się naprzód, wspinając się na stojące, by dosięgnąć drzwiczek wagonów.

Pani Dorset, wsparta na osi jednego z wozów stuknęła swoim parasolem w szybę, wołając wśród lkań:

— Gerard! Gerard!

Jeden z urzędników wziął ją w pól, usiłując odciągnąć od wagonu. Staruszka jednak trzymała się osi kurczowo.

— Mówię pani, że niema tam nikogo! — wrzeszczał jej nad uchem urzędnik.

— Jest! Jest! Tylko nie odpowiada mi!.. Słyszycie przecież, że mi odpowiada!.. — jęczała staruszka głosem przerywanym czkawką, uderzając z całych sił palcami w szybę, która rozprysła się na kawałki.

— Gerard! Moje wnuczanko! — zamosiła się pani Dorset kłanem, wsuwając ramie w otwór.

Zgiełk wzmagął się. Wezwani żandarmi zabrali się do rozpędzenia tłumy. Rozległy się krzyki, białylka, jęki.

— Spokoju! Spokoju! — wołał jakiś mężczyzna nawpół przytomnie.

Wtem z drugiego pociągu, który przybywszy, stawał, zgrzytając hamulcami na dalszym torze, młody człowiek wyskoczył i biegnąc na peron, wołał:

— Jestem, babciu! Jestem!

Pani Dorset spojrziała w jego stronę, zachwiała się i zamknęła, wpatrując się we wnuka dżłkim wzrokiem, podczas gdy Gerard chwyciwszy jej dłoń mówił:

— Spóźniłem się na pociąg w Paryżu! Wierłem do następnego! Miałem szczęście!! To ja, babciu, to ja!

— Nieprawda! Nieprawda! — zawołała obłąkana staruszka, uderzając zakrwawioną dłonią w ścianę wozu — jesteś tam! Tam!! Tylko nie odpowiadaj mi! Gerard! Gerard! Moje drogie wnuczanko!

Trzeba było, odciągnawszy ją przemocą od przewróconego wagonu, związać i... tego samego jeszcze wteczoru, w chwili kiedy słońce zapadało w morze, rzuciło mrok na przerażone wypadkiem miasto — zamknąć w zakładzie dla furjatów.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

W murach Kochanówka.



W dniu 29 ub. m. odbyła się w zakładzie dla umysłowo chorych w „Kochanówce“ uroczystość pożegnania dotychczasowego prezesa zarządu tego zakładu, p. Horodyńskiego, dyrektora Towarzystwa „Elbor“ oddział w Łodzi. Na zdjęciu powyższym widzimy uczestników uroczystości z prezesem p. Horodyńskim w towarzystwie przedstawicieli świata lekarskiego zarządu zakładu z dyrektorem „Kochanówki“ dr. Starzyńskim na czele. W głębi personeli i obsługa zakładu „Kochanówka“.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.

TEATRALJA.

Obchód ku czci Kochanowskiego w Warszawie. — Nowy pomysł teatralno-rewjowy. — Teatr w Bydgoszczy. — „Dziwny los“ K. H. Rostworowskiego.

Teatr Narodowy, spełniając rozumnie swój obowiązek, wystawił — ku czci Jana Kochanowskiego — nieśmiertelną „Odprawę posłów greckich“, poprzedzoną odczytem prof. Borowego oraz deklamacją szeregu utworów lirycznych znakomitego Poety z Czarnolasu. Widowisko miało stempel prawdziwego pietyzmu, przygotowane zostało z wielką starannością reżyserską, obsadzone w sposób pierwszorzędny. W „Odprawie“ zajął wielki talent p. Solikiej-Grosserowej, która jako Kassandra budziła swym kunsztem niezwykle dreszczę. Z pozostałej obsady wymienimy np. Solikiego, Brydzińskiego, Sochę, Różyckiego, Zahorską, którzy złożyli w hołdzie Kochanowskiemu piękną dawkę talentów i umiłowania poezji ojczystej P. Solska - Grosserowa wypowiedziała poza tem po mistrzowskiemu fragment z „Sobótek“, zaś p. A. Jasińska budziła szczere wzruszenie deklamacją „Trenów“. Niestety, na tem ze wszechmiar udaniem przedstawieniu okolicznościowym sala teatralna świeciła pustkami, gdyż publiczność stale szukała innych „rozrywek“, w rodzaju „Quil pro quo“ lub — zgoła dancingu. Kto by się tam chciał, zwłaszcza w takie upały, interesować Janem Kochanowskim, skoro można znaleźć dziś w Warszawie „lepszych“ poetów...

Znacznie większym powodzeniem cieszy się — trochę nas kępuje to stwierdzenie po tamtem, pierwszym — sztuczka z „życia nocnego“ p. t. „Codziennie dancin“ wystawiana w „Morskiem Oku“. Napisał ją sztuczka dwóch pisarzy węgierskich — Herosag i Farkas, a jest ona trochę niezwykła w tem znaczeniu, że rzecz się dzieje ma — widowni, a publiczność pomieszana jest z aktorami. Sceną jest estrada tanczalna w środku sali teatralnej, a do pewnego stopnia — również widownia, zastawiona stołkami. Pomysł inscenizacyjny istotnie zaliczyć trzeba do dość oryginalnych, choć takie, a raczej podobne pomysły mieli już przedtem Jewreimow, Pirandello i inni; ta niezwykłość inscenizacji, o ile zostanie umiejętnie wykorzystana, stanowi może główną atrakcję węgierskiej teatralno-rewji. Grała była ona w Wiedniu i Berlinie z ogromnym sukcesem, reżyserował ten „Codziennie dancin“ sam Reinhardt, publiczność zagraniczna bawiła się doskonale, tem lepiej, im więcej dawała się wciągać w tok akcji, im więcej brała udział w widowisku, co właściwie było głównym zadaniem autorów. Sama akcja jest słaba i uboga, jakiś tam romans pani bankierowej z t. zw. fortancerzem dancingowym itd. W „Morskiem Oku“ uczyniono wiele, aby węgierski pomysł zaktualizować i lokalizować i zrealizować w sposób możliwie najdoskonalszy. Prócz udziału w „Dancingu“ stałego zespołu, zaangażowano specjalnie do głównej roli kobiecej utalentowaną artystkę sceny poznańskiej, naszą łódzką „rodaczkę“ p. Zofię Grabowską. Od strony „zawodowych“ wykonawców wszystko niemal wypadło dobrze i zajmująco; natomiast oporniej poszło z tym

współdziałaniem publiczności, która do takich eksperymentów nie nawykła i jest raczej zakłopotana, niż przejęta swą rolą i rozbawiona.

Bardzo pomyślnie wypadł bilans sezonu ubiegłego teatru w Bydgoszczy, prowadzonego energiczną ręką dyr. Słomy, przy najściślejszej współpracy reżysera Koreckiego. Ogółem dano w sezonie 313 przedstawień, w tem dramatu 148, operetki 140, obcych imprez (występy gościnne Malickiej, Węgierki, Solskiego, Junoszy-Stepowskiego) — 11. W dziale dramatycznym wystawiono premier 15, w tem polskich — co wypadła podkresk — 13, obcych — 2; w dziale operetkowym było premier 6. Wyjazdów na prowincję zorganizował teatr bydgoski czternaście, w tem do Gdańska — 2. Dyr. Stoma chciał i umiał przyzwyczaić publiczność bydgoską do twórczości polskiej; świadczy o tem nie tylko wysoka cyfra premier polskich, ale również pokazana liczba przedstawień każdej ze sztuk. Tak np. „Krakowiaków i Górali“ grano 23 razy, „Złote więzy“ Rydla — 18 razy, „Zemstę“ — Fredry — 14 razy. Ze sztuk obcych 11 przedstawień osiągnęła sztuka Sherifia „Kres wędrowicki“, wartościowa, jak wiadomo, pod każdym względem. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że Bydgoszcz jest miastem małym i że przed kilkunastu laty jeszcze musiała ulegać wpływowi niemieckim, zrozumimy bez trudu w świetle cyfr powyższych, że teatr byd-

goski bardzo chwalebnie spełnia swe odpowiedzialne obowiązki w dziedzinie kulturalno - wychowawczej.

Z Krakowa idą wieści o ukończeniu przez K. H. Rostworowskiego nowej sztuki p. t. „Dziwny los“, która ma zainaugurować przyszły sezon w teatrze im. Słowackiego. Jest to sztuka współczesna, najzupełniej realistyczna, pisana prozą. Bohaterami tej są dzieci rodziny, tak srodze dotkniętej przez los w „Niespodziance“. Sztuka nowa Rostworowskiego nie jest jednak „dalejszym ciągiem“ tej poprzedniej i ma z nią tylko wyżej zaznaczony związek powieściowy. Ideą „Dziwnego losu“ jest triumf młodej, śmiałej energii twórczej i czystego uczucia ludzkiego nad materjalistycznym przekleństwem pieniądza. Sztuka, której akcja rozgrywa się w Krakowie, daje aktorom w poszczególnych rolach bardzo szerokie pole do popisu. Akcję jednego z aktów umiejscowił autor na terenie, który obserwuje codziennie z okna swej pracowni przy ul. św. Jana, w czasie gdy obok w sąsiedniej kamienicy, murarze pracują nad wzniesieniem nowego pietra. Środowisko, w którym toczy się akcja „Dziwnego losu“ jest małomiasteczkańskie i robotnicze; w akcji tej momenty silnego dramatycznego napięcia splatają się raz po raz z pełną szczerą humoru groteską, by zakończyć się jasnym, polorzopijającym akordem wiatry w zwycięstwo pięknych stron duszy człowieka.

Delta.



Piękny obraz pędzla francuskiego artysty - malarza Louis de Schriever wyobrażający dziewczę w kwieciu.



P. Juljana Aini, łódzianka, wybitna śpiewaczka i utalentowana pieśniarka, której występy wokalne cieszą się zawsze wielkim powodzeniem u publiczności i krytyki zagranicznej.



Zakończony został już rok pracy rzetelnej i pracy owocnej w szkołach i uczelniach łódzkich. Młodzież rozjechała się na letnie wywczasy, by wrócić z pełnią sił do mowych trudów. Powyżej widzimy grupę absolwentek działu handlowego Państwowej Przemysłowo-Handlowej Szkoły żeńskiej w Łodzi z prof. Rafała na czele.



W Aleksandrowie pod Łodzią odbył się Tydzień Polskiego Czerwonego Krzyża. W okresie tym zbierano ofiary na rzecz tej humanitarnej placówki. Odbył się również dzień znaczący. Na zdjęciu młodzież czerwono krzyżowska z zarządami i komitetem Tygodnia na czele.



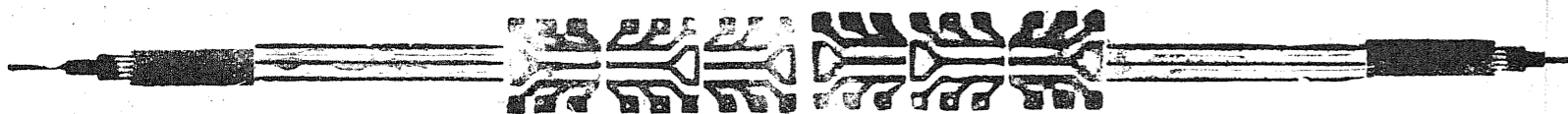
Staraniem Instytutu Rzemieślniczego w Łodzi zorganizowany został w Tomaszowie Mazowieckim kurs nauki zawodowych i społecznych dla czeladników rzemieślniczych. Powyżej kursanci z kierownikiem kursu i przedstawicielami władz na czele.



W Łodzi na terenach lotniska w Lublinku zorganizowany został obóz centralnego przysposobienia wojskowo-licznego, cieszący się poważną frekwencją uczestników. Na zdjęciach widzimy od strony lewej uczestników obozu w marszu przez bramę wjazdową, na prawo zaś młodzież obozową przed aeroplanem ćwiczebnym.



Upalny okres lata łodzianie spędzają na wywczasach w miejscowościach kuracyjnych krajowych i zagranicznych. Dużą frekwencją cieszy się wybrzeże polskiego morza, na falach którego znajdują łodzianie tak wiele miłych rozrywek, tyle radości i beztroski. Na zdjęciu powyższym widzimy wspólne zabawy nad brzegiem morza polskiego, tych, którym przypadło spędzić upalny czerwiec na piaskach Helu i Jastarni.



Niezwykłym powodzeniem wśród miłośników srebrnego ekranu cieszył się obraz filmowy p. n. „Awantury paryskie”, w którym główną rolę odtwarzała utalentowana artystka filmowa Mary Astor. Na zdjęciu fragment tego filmu.



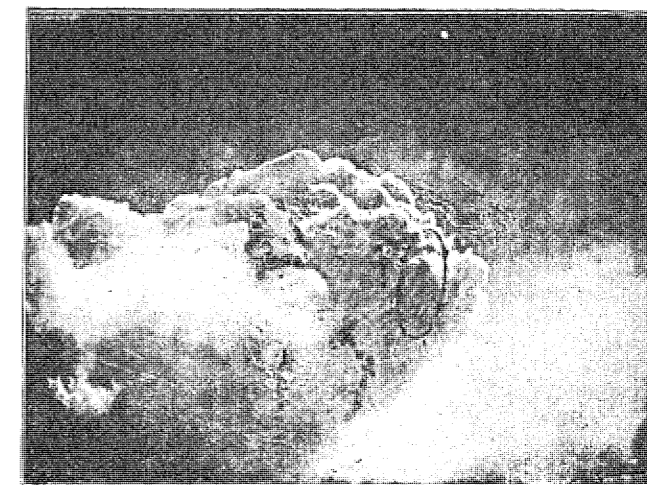
Teatrzyki paryskie roją się od wszelakiego rodzaju ekstrawaganse. Repertuar ich, to zbiór najróżnorodniejszych pomysłów, szczególnie w zakresie sztuki tanecznej. Popisują się tam przedstawiciele wszelkich narodowości. Na zdjęciu widzimy oryginalny taniec w jednym z teatrów paryskich.



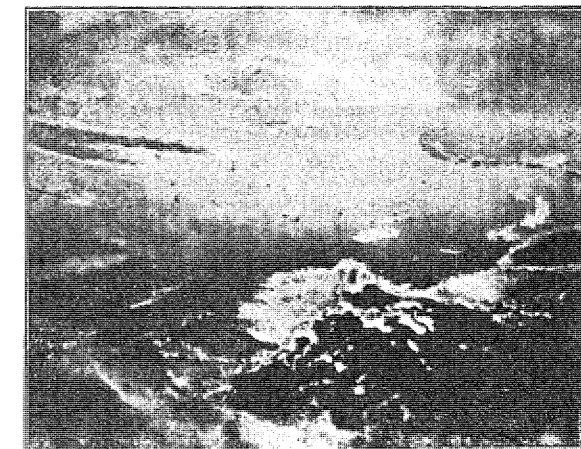
Para wytwornych tancerzy, którzy produkcjami tanecznymi wzbudzają powszechny podziw Paryża. Występy te cieszą się poważnym powodzeniem w paryskim „Folies Bergère”. Na zdjęciu fragment efektownego tańca tych pionierów sztuki choreograficznej.



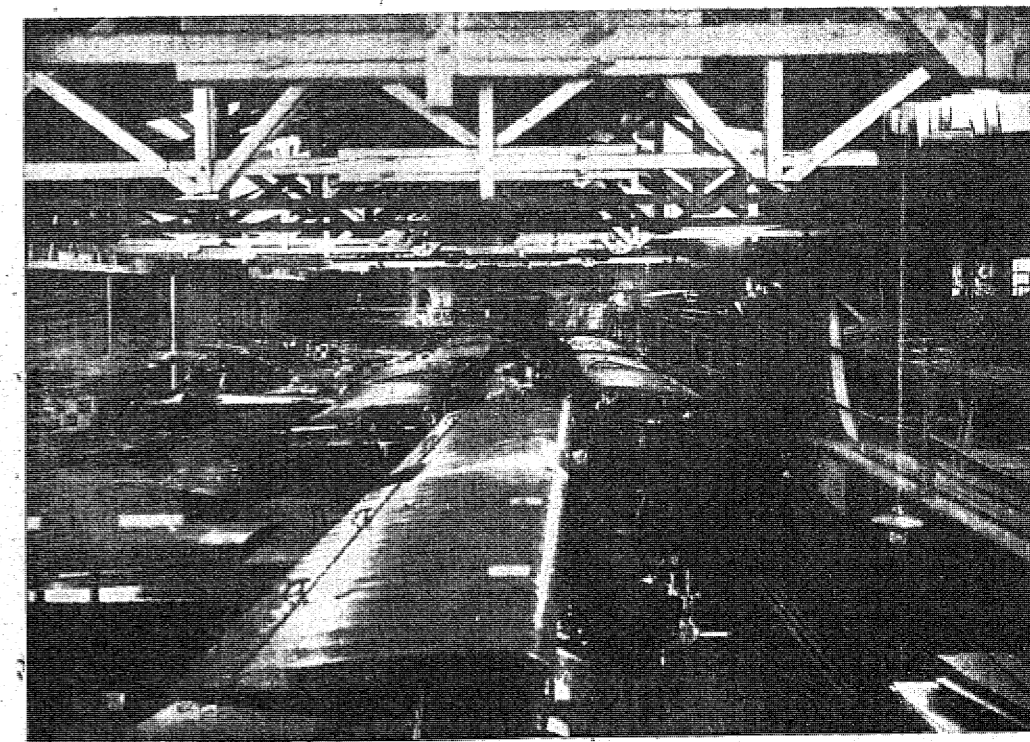
Doskonale wywiązał się ze swej roli znany artysta filmowy, Erich von Stroheim w obrazie p. n. „Wielki Sabbo”. Widzimy artystę tego na zdjęciu powyższym.



Ciekawym zjawiskiem w okresie lata są chmury, których należy wyliczyć kilka rodzajów. Są więc chmury kłębiaste, deszczowo - kłębiaste i inne. Na zdjęciu widzimy chmury kłębiaste t. zw. Cumulus.



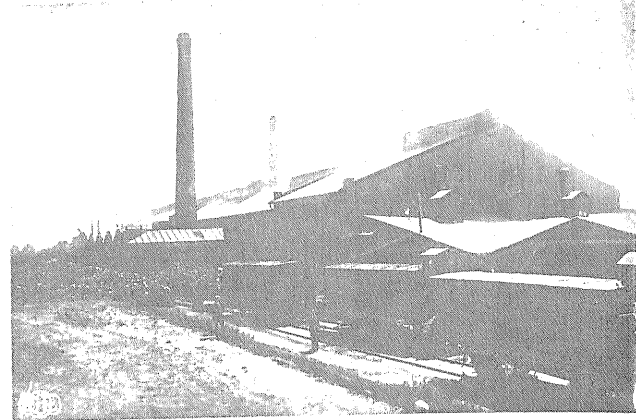
Z chmur zwanych cumulo-nimbus, czyli kłębiasto - deszczowych powstają przeważnie opady. Ten rodzaj chmur widzimy powyżej.



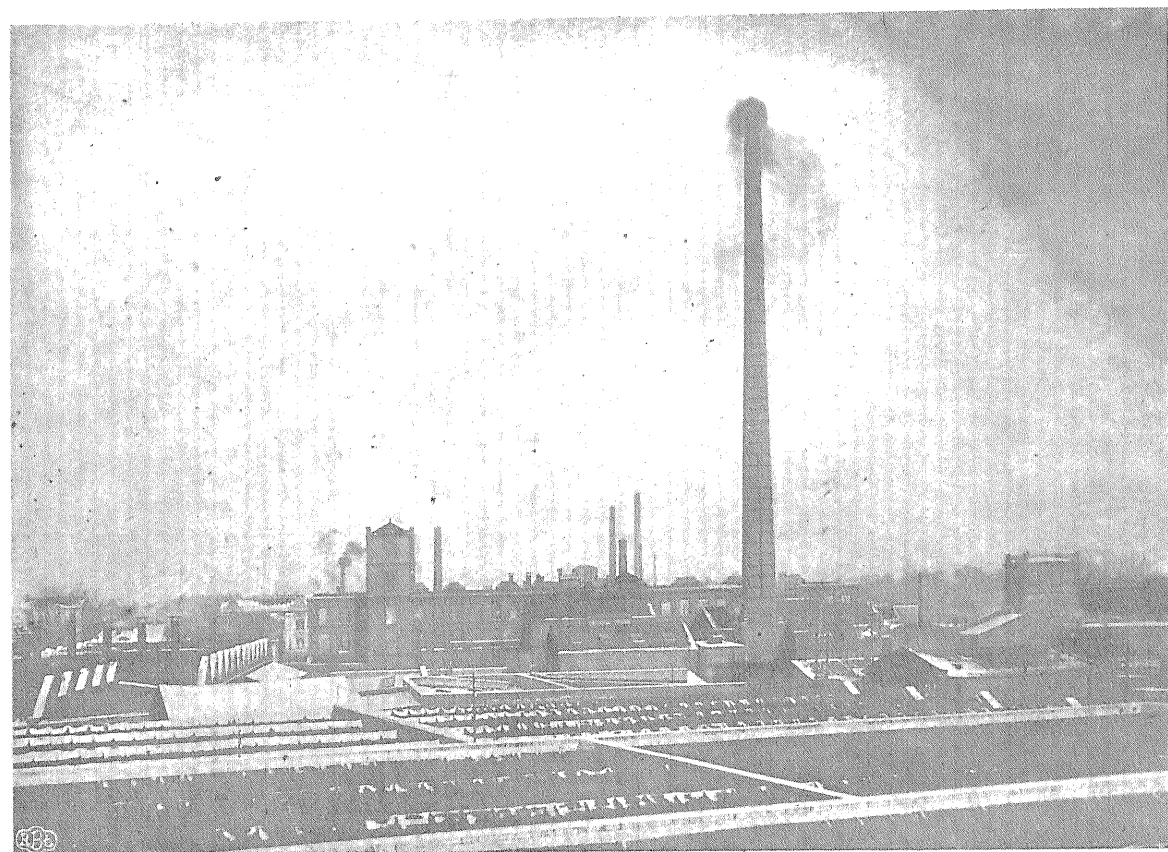
Lotnictwo polskie w okresie zaledwie 10 lat rozwinęło się imponująco. Acz nie dorównuje ono cyfrowo zagranicy, to jednak zagraniczne lotnictwo poziomem swym nie przewyższa lotnictwa polskiego. W kraju posiadamy liczne zakłady lotnicze, do których należy zaliczyć również fabrykę samolotów w Poznaniu, której salę montażową widzimy powyżej.



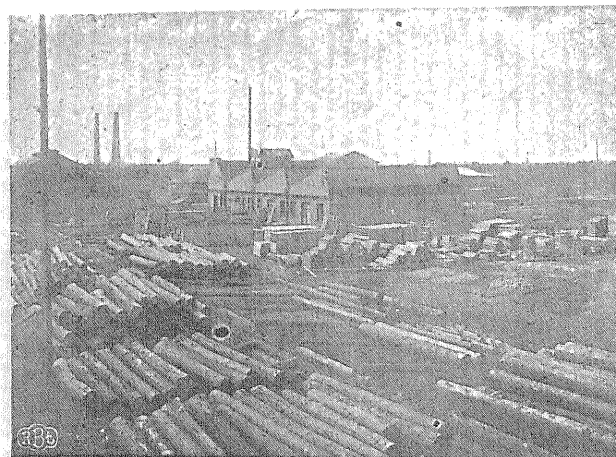
Zakłady przemysłowe „Krusche i Ender“ w Pabjanicach. Powyżej fragment mechanicznej szwalni.



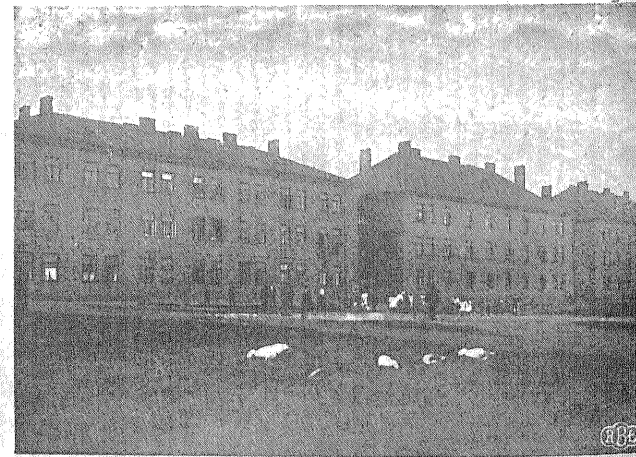
Huty szklane piotrkowskie Heblera. Ogólny rzut oka na zakłady hutnicze.



Oto jak wygląda polski Manchester - Łódź na tle piętrzącego się lasu kamiennego fabrycznych kominów, osnutych smugą rozpylonych dymów. Zdjęcie nasze przedstawia panoramę Łodzi.



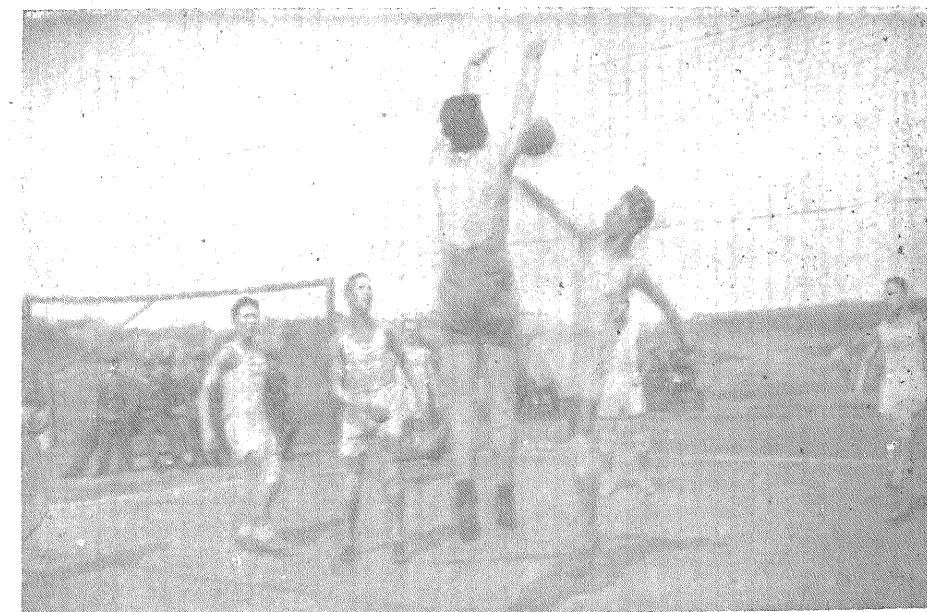
Zakłady hutnicze Heblera posiadają własny tartak oraz domy robotnicze, zamieszkałe przez pracowników tego przedsiębiorstwa. Na zdjęciach w leżymy od strony lewej tartak, na prawo zaś domy robotnicze.



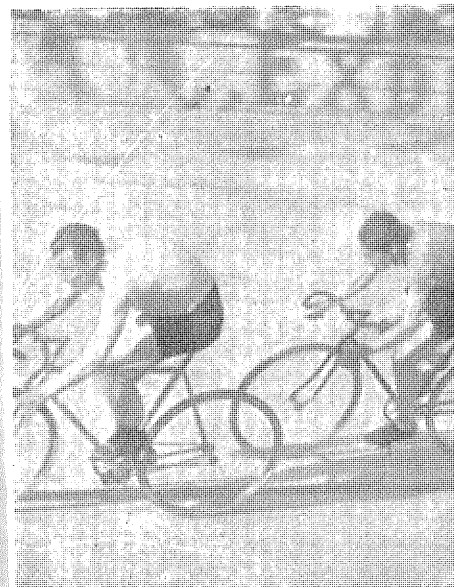
ZE SPORTU.



Dwukrotny zwycięzca Pełkiewicza, Kościak (Brno), pobity w Polsce przez Pełkiewicza.



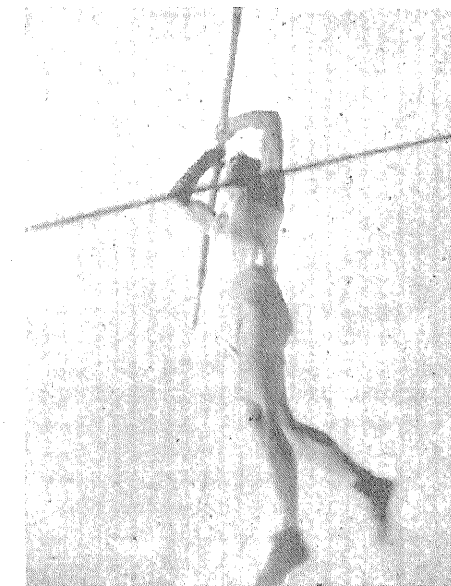
Ciekawy moment z turnieju w siatkówkę. Walka o piłkę.



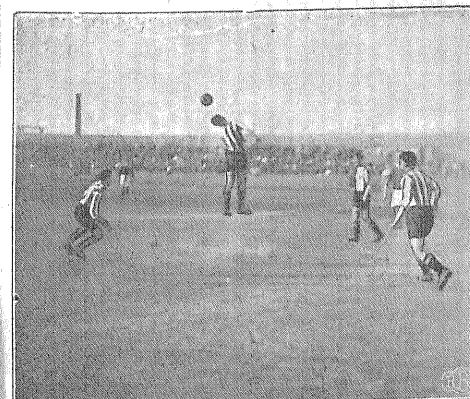
Łodzianin Pusz i Oksztucz walczy w Warszawie na finiszu.



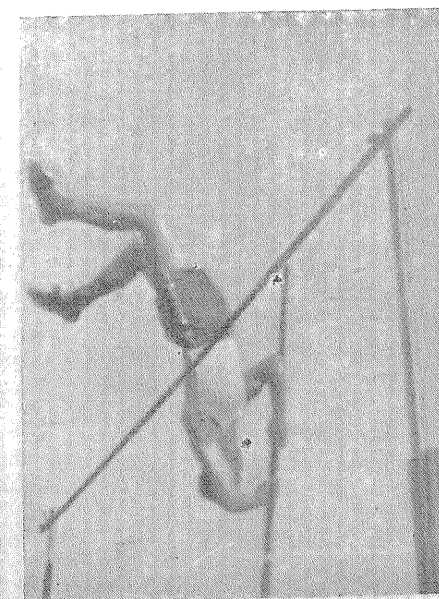
Zawody piłkarskie „Polonia“ (Kraków) i L. T. S. G. (Łódź).



Majtkowski skacze 3,34 metr.



Mecz piłkarski Polonii i L. T. S. G. na boisku W.K.S. w Łodzi.



Adamczyk skacze w Bydgoszczy 3,54 metr.



Mierzejewski (Legia) w skoku wzwyż.

Bajeczny pomysł.

Odkąd pamiętam, mieszkaliśmy w wiosce St.-Auvil'e pod Paryżem z dobrym Jakóbem i jego żoną, którą nazywałam „babunią“.

Matka moja, tancerka z zawodu, podobno, wyjeżdżając ze swą trupą do Ameryki, oddała mnie na wychowanie do „babuni“ z solenną obietnicą przysyłania pieniędzy na moje utrzymanie i zabrania mnie z sobą, gdy podrosnę. Lata wszakże mijały za latami i żadna wieść nie doszła nigdy do małej francuskiej wioski, co się stało z piękną Heloizą Laporte w Ameryce. Ja jednak nie mogłam się uskarżać na swój los: babunia bowiem wychowywała mnie jak własne dziecko, Jakób zaś był dobrym i kochającym bratem dla mnie.

Wszystko się jednak zmieniło z chwila, kiedy się ożenił z Marjetta, andaluzyjską Hiszpanką, która od pierwszego wejrzenia uczuwszy nęchę do mnie, uczyniła mi życie niemożne. Miałam wówczas czternaście lat i gdy babunia w parę miesięcy po ślubie Jakóba zamknęła oczy, przylgnęłam w rozpacz wargami do jej zimnej dłoni, błagając ją, by wzięła mnie ze sobą w zaświaty.

W jakiś czas potem z podsłuchanej rozmowy Marjetty z Jakóbem dowiedziałam się, że sprzedali dom i zamierzają przenieść się do Andaluji.

— Dorę oddamy do przytulku — mówiła Marjetta.

— Za nic! — krzyknęłam, wyskakiując z ukrycia.

— A więc idź na cztery wiatry! — cieniowała mnie Marjetta.

Jakób nie wtrącił się. Wogóle od czasu ślubu z Marjetta był dziwnie milczący i nie miał własnego zdania. Upatrzywszy jednak odpowiednią chwilę, wsunął mi pieniądze do ręki, kładąc przytem palec na ustach.

Otrzymałam od poczciwca dwadzieścia pięć franków, wydały się dziewczynce, która nigdy nie miała grosza w kieszeni — majątkiem. Wnet myśl oddawna kłęcząca mi w głowie opanowała mnie wszechwładnie: udać się do Paryża, zostać tancerką i pojechać — na poszukiwania matki do Ameryki!

Pewnego ranka, o świcie, z dwudziestu pięciu frankami i wycinkiem starej gazety paryskiej, zawierającym ogłoszenie o szkole tańców, przyjmującej chłopców i dziewczęta na naukę, z małym zawiniątkiem pod pachą i sercem bijącym od szybkiego biegu znalazłam się na szosie, prowadzącej do Paryża.

W chwili, gdy rozmyślałam, co począć z sobą dalej, usłyszałam turkot zbliżającej się furmanki chłopskiej.

— Hallo! Hallo! — krzyknęłam, machając ręką do siedzącego na koźle wieśniaka — dokąd jedziecie?

— Do Paryża z jarzynami na targ — odparł, stając.

— Doskonale! Podwieziecie mnie, prawda? — zawołałam i wskoczywszy, nie czekając na pozwolenie do wozu, usiadłam na koźle obok chłopka.

Około południa stanęliśmy na bruku paryskim. Podziękowawszy kmiotkowi za przysługę, poszłam sama na poszukiwanie „Szkoły tańców“ Monsieur Cambrin'a. Po dwóch godzinach dopiero trafiłam do starego, odrapanego domu w małej uliczce jednej z podrzędnych dzielnic Paryża.

— Czego? — spytał stary, niedbale ubrany człowieczek z serwetą u szyi, otwierając mi drzwi.

— Ja... Ja... Monsieur — jękałam się — chcę zostać tancerką. Proszę mnie przyjąć do szkoły.

— Owszem — odparł człeczyna, spojrzawszy na mnie z zainteresowaniem — niech panią przyjdzie jutro przed południem do mojej klasy, a zobaczymy jak tam z talentkiem. Honorarium zgóry. — Trzydzieści franków miesięcznie.

Otworzyła szeroko oczy.

— Nie masz panią pieniędzy?

— Nnniee...

— Po co w takim razie zawraca mi głowę?... Przeszkodziła mi w obiedzie?... Czego tu chce?... Precz, pókim ciepłiwyl!... — wykrzykiwał krewki gospodarz, wypychając mnie bez ceremonii za drzwi.

Ja jednak miałam również gorący temperament, którego nie przywykłam trzymać na wodzy. Tupnąwszy więc nogą, rozpuściłam język:

— Ach ty! Stary niegodziwco! Chcesz mnie za drzwi wyrzucić? Mnie? Sierotę! Wstydz się, skapcze! Ja nie odejdę stąd! Musisz mnie nauczyć tańczyć, bo będziesz miał później pociechę ze mną!

Monsieur wpatrzył się we mnie z bezgranicznym zdumieniem i naraz twarz mu się rozjaśniła.

— Brawo! — zawołał — masz temperament! Podobaś mi się, moje dziecko! Margot! Margot! — dodał uchylając drzwi do kuchni — mamy nową uczennicę, z której spodziewam się zrobić prima ballerine z czasem. Zamieszka u nas i będzie ci pomagała w kuchni.

Zaczął się nowe życie dla mnie. W domu państwa Cambrin było bardzo dużo do roboty, z nimi bowiem mieszkali kilku starych krewnych i paru wychowanków. Korzystając jednak z każdej chwili wolnej, biegłam do „sali tańca“, tak szacownie zwanego, większego od innych pokoju, gdzie pod okiem „Monsieur“ ćwiczyłam się z zapalaniem w gimnastyce i tańcu, czemu przyglądał się z zainteresowaniem najstarszy syn państwa Cambrin, Franciszek, rekonwalescent po ciężkiej ranie wojennej; tancerz, jak i ojciec, z zawodu.

Po zawieszeniu broni, w oczekiwaniu rychłego pokoju w domu państwa Cambrin'ów zaczęto snuć plany na przyszłość. Pewnego dnia Monsieur Cambrin zwierzył

się z myślą wysłania wyszkolonej przez siebie trupy tancerkiej do Ameryki. Radość moja nie miała granic. Nareszcie! Tyleletnie marzenie moje przybierze kształty realne!

— Co?!... Dora do Ameryki?!... — zawołała pani Margot. — Nie! Nie! Ja nie mogę obejść się bez niej!

— Ależ, Margot... — zaczął Monsieur.

— Cicho bądź! — przerwała mu żona.

— Nie ma to uczyła ją prac i gotowaś. aby teraz, kiedy może mi być wreszcie pomocna, miała wyjeżdżać! Nic z tego nie będzie! Niema gadania!

Monsieur patrzył za wychodzącą bezradnie. Mnie lzy stanęły w oczach.

— Nie płacz, mała! — szepnął. — Ciężkość, a znajdę sposób na nią.

Trupa ówiożyła się gorączkowo. Przywódca jej miał być młody Franciszek Cambrin, z którym byłam w wielkiej przyjaźni. Oświadczył mi się nawet ze swą miłością kilkakrotnie i kradł całusy przy sposobności, ale odkąd powstał projekt wyjazdu do Ameryki, ja o niczym innym nie byłam w stanie myśleć narazie.

Na parę dni przed wyruszeniem trupy w drogę, podczas kiedy ćwiczyłam się w sali tańca pod uważnym okiem Monsieur Cambrin'a, poczciwy starszulek wybuchnął nagle śmiechem.

— Mam bajeczny pomysł! — szepnął mi do ucha, obejmując mnie w pół jednocześnie i przyciskając swoje wargi do moich ust.

Zaskoczona tym niebywałym wybuchem czułości, nie zdążyłam wyrwać się z uścisków mego nauczyciela, kiedy rozległ się gniewem drżący głos pani Cambrin:

— Ach, ty stary lubieżniku! W moim własnym domu!... Co za bezczelność! Zacałowywać dziewczuchę!...

— Ależ, Margot! — bronił się Monsieur wcale nie stropiony — talki ojcowski pocałunek...

— Ojcowski... Widzicie go?!... Nie jestem ślepa, Henryku Cambrin! Niech dziewczynka idzie precz z mego domu. Ani myślę ścierpieć ją nadal pod moim dachem! — krzychała oburzona małżonka, poczem wyszła z „sali tańca“, brzasnąwszy drzwiami.

— Nie było innego sposobu — tłumaczył mi się Monsieur, trzęsąc się ze śmiechu — możesz teraz pakować się, Doro! Jedziesz z trupą do Ameryki! A pamiętaj, nie zrobić mi wstydu!

W dwa tygodnie potem wyładowaliśmy w New Jorku, gdzie stanęłam z Franciszkiem Cambrin u ołtarza.

Trzy lata od owej chwili minęło.

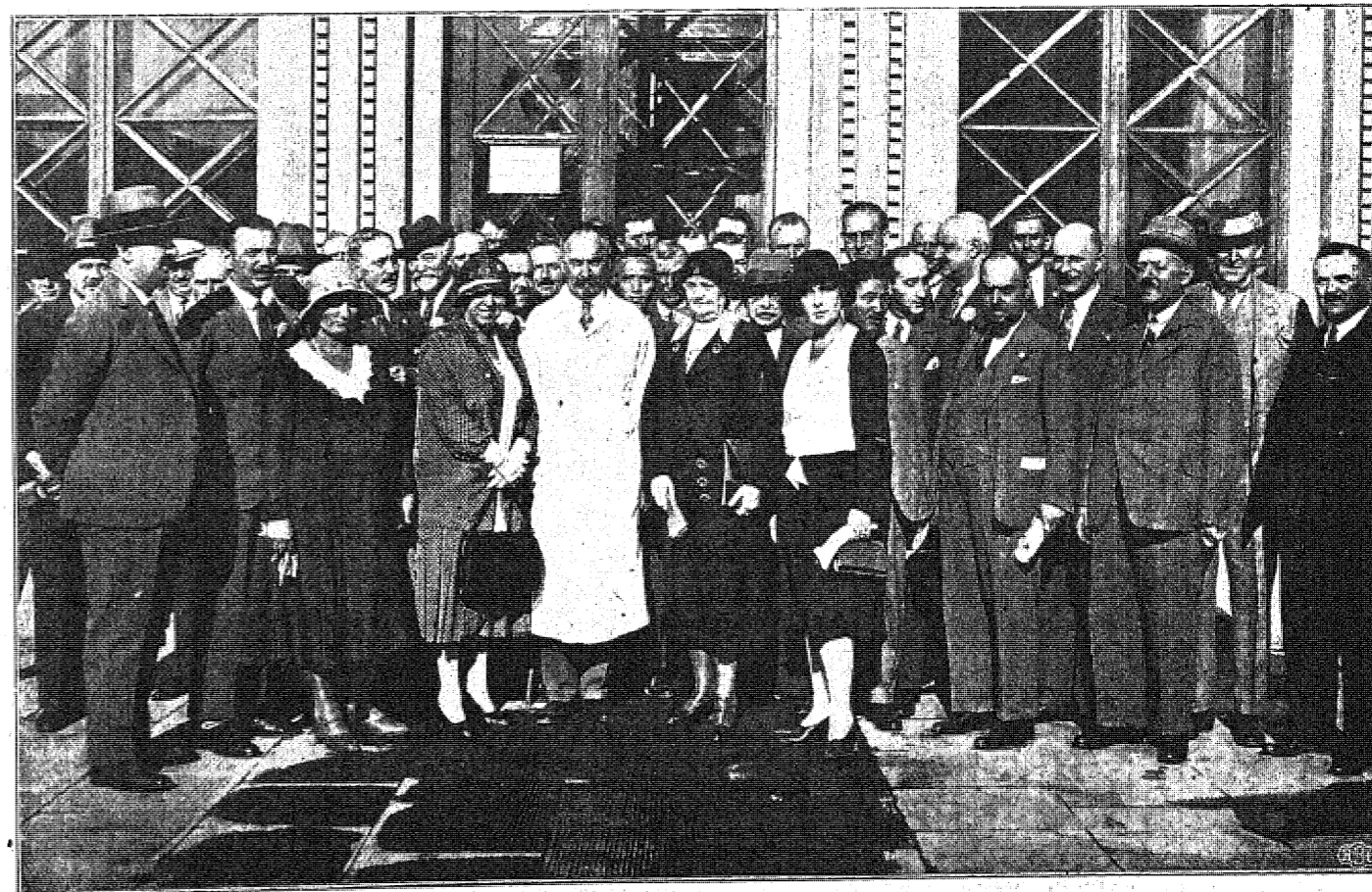
Nie znalazłam w Ameryce matki mojej, niestety! Ale zrobiliśmy majątek z mężem i na przyszłe lato — hołdując modzie — wybieramy się z czysto amerykańską „Grupą“ trupą do Europy, ciesząc się zawczasu na myśl wjrzenia ojczyzny pomysłowego ojca Cambrin i jego zazdrosnej żony.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Cudzoziemcy w Łodzi.



W ubiegłym tygodniu bawiła w Łodzi wycieczka uczestników Międzynarodowego Kongresu Komunikacyjnego, obradującego w Warszawie. W skład wycieczki tej wchodziła przedstawicielstwo wszystkich państw europejskich oraz Japonii. Wycieczka zwiedziła i zapoznała się z wielkimi zakładami przemysłowymi, szpitalnictwem łódzkim, koloniami robotniczymi na Polesiu Konstantynowskim i parkami miejskimi. Na zdjęciu powyższym widzimy uczestników wycieczki z lekarzem szpitala im. Prezydenta Mościckiego, dr. Tomaszewiczem na czele.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.